NUMER POJEDYŃCZY 10 K.

ZŁOTY RÓG
ILUSTROWANY TYGODNIK LITERACKI ARTYSTYCZNY I SPOŁECZNY

REDAKCJA I ADMINISTRACJA
WARSZAWA
UL. KRÓLEWSKA 27
TEL. 226-83 i 152-05.

No 36

WARSZAWA
DNIA 25 SIERPNIA 1912 R.

Wojna w powietrzu.

Nigdy jeszcze pokój nie był równie kosztowny a niepewny. Aczkolwiek od lat 40 mieszkańcy Europy żyli, krzątali się i weselili z tą myślą, że mają pod stopami rozległe podminowane dynamitem lochy, jednakże położenie to *à la longue* stało się nieznośne.

Chroniczny od pewnego czasu niepokój, zwłaszcza wobec nowych gorączkowych zbrojeń, przechodzi w istną panikę. Nawet spokojne, Bogu ducha winne, kraiki: Szwajcarja, Belgja, Holandja — doznają znamiennych dreszczy i zbroją się na wszelki wypadek — z tą melancholijną na dnie duszy pewnością, że zawierucha od ich granic odeprzeć się nie da i przejdzie po nad niemi, zostawując po sobie gruzy, płacz i zgrzytanie. Nawet szczęśliwe gdzieś za równikiem antypody — Australja i Nowa Zelandja, gdzie zapał bojowy z dawien dawna panuje tylko na terenach sportowych — nawet i one, porwane w wir przygotowań wojennych W. Brytanji, budują na gwałt *dreadnoughty* i ćwiczą kadry marynarzy.

Tymczasem w Europie koszta nowych zbrojeń liczą się już na dziesięć miljardów rocznie. W arsenałach morskich i warsztatach okrętowych wre robota we dnie i w nocy: w kuźni Wulkanowej Mars posępny i groźny wykuwa zabójcze brzeszczoty...

Rozwiał się nieomal doszczętnie myt kłamliwy o niezmienności pokoju zbrojnego pod hasłem: *si vis pacem para bellum*. Ludziom otwarły się oczy: patrząc na tak rozległe, kosztowne i śpieszne przygotowania, na szalone wszędy współzawodnictwo, na rosnący w groźnem tempie antagonizm dwuch kolosów nad morzem Północnem — ludzie poczynają rozumieć, że pokój zbrojny nietylko nie zabezpiecza od wojny, ale przeciwnie: zmierza ku niej logicznie i bezpośrednio. Wszystko co się dokonywa teraz na widowni świata jest nieustającą ani na chwilę prowokacją. Nad tą całą zgiełkliwą, gęsto zaludnioną i pracowitą dzielnicą globu zawisła straszliwa, dławiąca mara: wizja zbiorowego mordu, przeczucie nieuniknionej, niezmiernej katastrofy.

Zapewne, wielcy Augurowie, patrząc na się, zmuszają się jeszcze do śmiechu, ale ich oczy mienią się już czerwonym połyskiem.

Europa jest jak ów manjak nieszczęsny, który, w przekonaniu, że powinien zabić własną matkę, co noc podkrada się do jej łóżka ze sztyletem w dłoni — i zamierza się do śmiertelnego ciosu. Wielokrotnie powtórzone ćwiczenie tego rodzaju, z matematyczną pewnością, spowodować musi, w pewnej chwili, giest nieodwołalny i skończony, do którego zaprawia się zawczasu umysł i ramię szaleńca. Chyba, że czyjaś wczesna interwencja obezwładni go w porę, kładąc kres tym ćwiczeniom.

Niestety — niema na świecie siły dość rozumnej, ani rozumu dość silnego, aby kres położyć wielce ryzykownym próbom i manewrom, które Europa wykonywa gorliwie, wprawiając się oddawna w zadawanie zabójczych uderzeń.

Jakoż celem wszelkich ćwiczeń i manewrów na lądzie, na morzu i w powietrzu jest widoczna potrzeba jaknajczęstszego powtarzania „giestu", żeby wdrożyć stada ludzkie w jego wykonanie, oswoić je i „otrzaskać" jego koniecznością — bo nuż w ostatniej chwili wyda się im nagle—potwornością?

* * *

Dawniej odbywały się te wielkie manewry głównie nad Renem i to niejako „w oderwaniu", z zachowaniem różnych pozorów, które nadawały im niewinny charakter malowniczych rewji; teraz, na morzu Północnem, stały się te ćwiczenia jakoś bardziej precyzyjne, a odbywają się bez osłon.

Wynik ostatnich „doświadczeń“ floty angielskiej sprawił na wyspie piorunujące wrażenie i wzmógł jeszcze chroniczny od pewnego czasu lęk Anglików przed najściem niemieckiem. Oto eskadra „czerwona“ pod wodzą adm. Alleghana zmyliła czujność dwakroć silniejszej flotyli „niebieskiej“ adm. księcia Battenberga i pod osłoną mgły wysadziła na ląd angielski cały korpus wojska.

Jeśli weźmiemy pod uwagę, że istotny stosunek sił Anglji i Niemiec jest wielce do tego zbliżony i zmienia się z każdym rokiem na niekorzyść Anglji, zmuszonej zaniechać już dawnej metody *two Powers Standart* — to pojmiemy całą wagę takich doświadczalnych objawień. Przed paru jeszcze laty straszyła wyspiarzy jedynie wizja najazdu powietrznego, który rzuci wyćwiczone pułki na ląd angielski ponad bezsilną strażą twierdz pływających; obecnie i we właściwym swoim żywiole — na wodzie — nie czują się Anglicy bezpieczni—i to jest objaw znamienny.

Zeppelin IX, krążąc przez 20 godzin bez przerwy na wysokości 1500 metrów i z chyżością 77 kilometrów na godzinę, przebiegł wzdłuż granicy francuskiej tam i napowrót. Nazajutrz wzbił się na 1800 metrów i paląc ze wszystkich dział, zniszczył w ciągu 17 minut sztuczne miasto, wzniesione umyślnie w tym celu na polu ćwiczeń w Badenji. Uzbrojenie takich śrubowców składa się z 2 wielkich dział i 10 kartaczownic syst. Gatlinga. Oczywiście, każdy samolot, który znajdzie się w promieniu półwiorstowym, momentalnie będzie rozniesiony w strzępy. A trzeba dodać, że prócz tych 13 pancerników powietrznych (pod koniec roku będzie ich pono 18) rząd niemiecki rozporządza jeszcze tuzinem prywatnych balonów typu *Zeppelin* i *Parseval*, które mają być oddane do użytku władz na wypadek wojny.

W tych warunkach — twierdzą rzeczoznawcy — niemiecka flota powietrzna zjawi się nad Paryżem w 4 godziny po wypowie-



Śrubowiec napowietrzny „Zeppelin“.

Druga, nie mniejsza od tamtej niespodzianka: Francja, tak dumna ze swej „czwartej broni“ i posiadająca niezrównanych lotników wojskowych — poczuła się nagle zagrożona i w tej dziedzinie, gdzie dotąd prym dzierżyła niepodzielnie.

Oto konstruktorzy i piloci niemieccy, niczem niezrażeni a hojnie przez rząd wspomagani, doszli do świetnych rezultatów. Niemcy mają obecnie 244 aeroplanów wojskowych i 400 dyplomowanych lotników. Jakkolwiek francuska technika lotnicza jest niezrównana — o czem miałem sposobność przekonać się naocznie w *Issy-les-Moulineaux* i w cytadeli *Vincennes* — jednak i tu przewaga zdaje się przechylać na stronę niemiecką, jeśli zważymy, że Paryż, leżąc blizko granicy, łatwo jest dostępny, czego o Berlinie powiedzieć nie można.

Nadto sformowali Niemcy cichaczem eskadrę olbrzymich śrubowców napowietrznych typu *Zeppelin*. Kilka wypadków z balonami tego typu skłoniło świat do lekceważenia tych kruchych kolosów. Uznano je za twór chybiony, nieudatny. Tymczasem jednak sztab niemiecki trzyma w rezerwie 13 takich śrubowców, zbrojnych w dalekonośne działa. Są to więc *dreadnoughty* powietrza, rozporządzające strasznemi środkami zniszczenia. Podczas gdy Francuzi ćwiczyli się naiwnie w ciskaniu z góry granatów ręcznych — Niemcy powołali do życia coś zgoła nowego: artylerję napowietrzną. W październiku r. z. jeden z tych potworów,

dzeniu wojny, a w 8 godzin szybować będzie nad Westminsterem, mając pod sobą, oszalałą z trwogi, stolicę dumnego Albionu, na łasce i niełasce sztraszliwych bomb melinitowych...

Niema co: piękna perspektywa!

Postaci rzeczy nie zmienia i ta okoliczność, że oddając pięknem za nadobne, Anglicy mogą zbombardować Hamburg i Bremę, a Francuzi puścić z dymem Frankfurt, Kolonję, Dusseldorf... Strony wojujące zechcą się wzajemnie zwieść i uprzedzić, dzięki nowoczesnej technice, kto uderzy mocno a znienacka, zyska odrazu przewagę olbrzymią. W tym kryje się też niemałe niebezpieczeństwo, bo i któreż mocarstwo, będąc w zupełnej gotowości, zechce bawić się w formalności i skrupuły? Inna jeszcze okoliczność spotęguje grozę wojny: strona zaczepna, operując najnowszemi środkami zniszczenia, wytęży wszystkie siły, by w najkrótszym czasie napiętrzyć możliwie najwięcej gruzów, rozszerzyć pożogę, śmierć i pustkę, wywołać straszliwą panikę w gęsto zaludnionym kraju i tym sposobem zmusić wroga do natychmiastowej pokornej uległości.

I tak będzie *w najlepszym razie*, bo taki teror zdusi wojnę w zarodku; w przeciwnym zaś razie rozpęta się nad Europą tak okropny orkan spustoszenia, jakiego nie zaznała bodaj od czasów Atylli. A i to pamiętać się godzi, że środki zniszczenia, jakimi operował „bicz Boży“ na ziemiach zresztą rzadko podówczas zaludnionych — wydają się

dziecinną igraszką w porównaniu z genjalnymi pomysłami kultury XX-go stulecia.

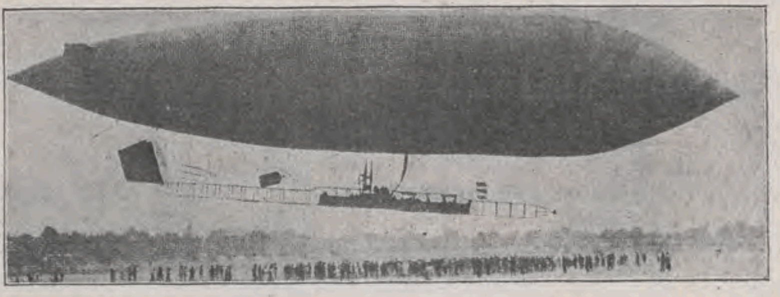
Niejeden podobno kretyn — mówią psycholodzy — zdradza godny podziwu spryt, gdy chce wypłatać jakiegoś bolesnego, złośliwego figla. Otóż ludzkość, pod wielu względami, jest jeszcze dzieckiem bardzo mało rozwiniętem, rzekłbym: kretynicznem.

Całe niezmierne pole działalności w kierunku doskonalenia rodzaju ludzkiego leży smutnym odłogiem; podstawowe prawdy hygieny społecznej uchodzą dotąd za nieziszczalną utopję, choć nikt ich negować nie może — ale zato w tej jednej, jedynej dziedzinie — w technice zniszczenia i mordu — ludzkość przeszła najśmielsze fantazje pisarzy w rodzaju Verne'a i Wells'a... Ciężka leży na kulturze współczesnej odpowiedzialność za to, że dopuściła do rozrostu tej potworności, która już nie da się obezwładnić w swoich zapędach; ciężka też grozi jej kara za to wywyższenie niebaczne czysto materjalnej techniki nad właściwą, duchową cywilizacją.

Bowiem dziś i jutro, po wszystkich kongresach i konferencjach pokoju, po wszelkich w prawie publicznem reformach, okropność wojny, wraz z bombami melinitowemi, spada na bezbronną ludność miejską bez różnicy płci i wieku, równie ślepa, okrutna, zwierzęca, jak przed lat tysiącem, w czasach najgorszego barbarzyństwa.

Jedna wszelako zostaje nadzieja: czego rozum nie dokonał, to zdziała zapewne strach paniczny; wolno przypuszczać, że wojna, która jest może nieunikniona, będzie ostatnią.

Leon Gorecki.



Diryżabl francuski.

NIEMCY I PRUSY.

(dokończenie)

Poza tem Prusy są stworzone na obraz i podobieństwo swych królów, najpodstępniejszych, jakich kiedykolwiek świat oglądał. Kartagina była naiwna, „zdradziecki Albion“, wspaniałomyślny w porównaniu z tym rządem bez czci i wiary, bez sumienia i litości. Wszystkie środki uważa on za dobre, jeśli pozwalają mu one zabrać coś, jeśli zapewniają udaną. Lekceważenie traktatów, zasadzki i podstępne ciosy są ulubioną zabawą ich władców. Fryderyk II działał przynajmniej z cynicznym bezwstydem: zdradzał z podniesionem czołem, kłamał bezczelnie, grabił, nie strojąc się w szaty świętoszka. Jedynem bóstwem, które uznawał był „Jego Świętobliwość Przypadek“. W swych pamiętnikach wyznaje on otwarcie niecność zaboru Szląska. „Ambicja — mówi on — chciwość i chęć zwrócenia ogólnej uwagi zwyciężyły i zadecydowałem wojnę“. Lecz od tego czasu chciwość prusacka przybrała mistyczną maskę i opromieniła pikielhaubę aureolą, która razi swą fałszywością o sto kroków; swe krwawe dzieła zaprawiła komedjami godnemi dewotki. Rozbój Prus zwie się dziś „misją historyczną“, wyprawy zbójeckie przeobrażają się w krzyżowe. Pruski uzbrojony świętoszek, zagarnąwszy dom sąsiada, obłudnie pada na kolana, żegna się skrwawionymi palcami i składa dzięki Bogu wojen. Już Fryderyk-Wilhelm IV ogłosił się za „ziemskiego wasala Pana Boga“. Lecz król Wilhelm uczynił szczególnie odrażającą tę skrzywioną karykaturę podstępnego pobożnisia. Czy może być coś bardziej oburzającego i wstrętnego, niż ta pobożność i klękanie przed Bogiem prusackim, z którego uczyniono okrutny fetysz, którego karmi się rzeziami, któremu dyktuje się krzywoprzysięstwa i którego można wyobrazić sobie jedynie w postaci punickiego Milocha lub germańskiego Teutatesa, którego opychano mięsem ludzkiem! Pełna fałszu dobroduszność, którą ten stary zbir usiłuje pokryć grabieże, czyni go jeszcze wstrętniejszym. Któż nie pamięta komedji, któremi sypał po Sadowie przed deputowanymi hanowerskimi, którzy błagali go, by oszczędził ich kraj. Słyszeliśmy wyłącznie zapewnienia o swej bezinteresowności, płaczliwe kondolencje, komplementy z powodu ich męstwa, zaklęcia, że przedsięwziął tę wojnę jedynie dla „zaborów moralnych“. Wszak „z ciężkiem sercem“ *(schweret und schwersten Her-*

zens) zdecydował się na walkę, której losy złożył w ręce boże. Kończąc tę pobożną przemowę, stary król obmył ręce w krwawej misie Piłata i ze wzrokiem, zwróconym ku niebu oświadczył, że „wobec woli Opatrzności“ aneksję Hanoweru uważać należy za fakt dokonany. Istnieje coś straszniejszego, niż ryk lwa lub tygrysa, a mianowicie, łzy krokodyla, płaczącego nad zabijaną ofiarą, którą trzyma w zębach.

Prusy wcieliły się w ciągu ostatnich dziesięciu lat w osobę Bismarcka. Pod jego wodzą zdjęły one przynajmniej maskę, a ich odsłonięte oblicze przejęłoby strachem Hobbes'a, przeraziłoby Machiavelego. Zło znalazło w nich generalnego sługę. Przypominają one demony państw, które ukazuje Milton w Pandoemonium, gdy opracowują dyplomację dla Piekła. Siła przed prawem, żelazo rąbiące sprawiedliwość, zdrada opromieniona sławą, szpiegostwo uczynione honorową służbą publiczną, krzywoprzysięstwo pochwycone na gorącym uczynku i swobodnie uśmiechające się, kradzieże i zamachy na wolność narodów, — oto zasady tej polityki. Bismarck uczynił z niegodziwości system; dokończył on dzieła demoralizowania Prus, dzieła tak świetnie napoczętego przez jego poprzedników. Dziś wobec całego parlamentu bezczelnie śmieje się tam z uczynionej przysięgi. Trzy lata upłynęły od wojny, a Prusy nie wykonały jeszcze artykułu zawartego w traktacie praskim, w myśl którego zobowiązały się do zwrócenia Danji północnego okręgu Szlezwigu. Ilekroć razy protesty Danji rozlegały się w parlamencie, wywoływały one na wszystkich ławach „długo nieustającą wesołość“. To coś bezmiernie śmiesznego dla posłów pruskich — pisał duński dziennik, *Dagbladet*, że dwieście tysięcy Duńczyków łudzi się i powołuje na swe prawo. Powoływać się wobec Prus na traktaty wydaje się im tak wielkiem błazeństwem, że można się z tego jedynie śmiać“. Liberali pruscy, pełni pokojowych i ludzkich uczuć, mówiący wciąż o postępie i prawie narodów, z zapałem protestujący przeciw wojnie 1866 roku i odrzucający z roku na rok prawo wojskowe, które umożliwiło wojnę, walczący zajadle przeciw despotyzmowi króla, nazajutrz po zwycięstwie stanęli po stronie tryumfatora. Zaprzedali duszę wobec dokonanego faktu; oklaskiwali wieczorem to, co przeklinali zrana. Armaty z pod Sadowy oświeciły ich, olśniły i nawróciły na drogę, prowadzącą pod władzę silniejszego. I oto dziś zdumiewają się oni, że zapewniono państwom związkowym całość ich terytorjów, oskarżają Bismarcka o nadmiar łaskawości. Jak dowcipnie powiada Cherbuliez, „ci sami ludzie, którzy odpychali skromny kielich sławy, gdy im go przysuwano, dziś doszli do tego, że chcieliby dobrać się do dna olbrzymiej beczki“, Dziś, z ich szeregów właśnie rozlega się wycie szakali, krzyki rozjuszonej psiarni, domagającej się wydania Francji na pastwę grabieży. Bismarck może być dumnym, udało mu się w istocie zabić sumienie Niemców.

Aby dokładnie poznać tego człowieka i politykę, którą uosabia on, należy przeczytać w książce Cherbuliez'a, treściwą i przenikliwą analizę zasadzki, w którą wciągnięto Niemcy po Sadowie: śmieszna autonomja, pozostawiona państwom związkowym, jako cień samoistnej egzystencji, ta Konfederacja Północna, która jest w gruncie rzeczy zamaskowaną podległością, systematyczne i umiejętne plątanie atrybucji różnych władz, niedokładne określenie kompetencji, poplątanie tego wszystkiego na kształt zagadki, którą pan może każdej chwili rozwiązać stosownie do swej woli, Izba Wyższa, która nie jest Izbą, ministerja, które nie są ministerjami, zgromadzenie, obdarzone wszelkiemi prerogatywami parlamentu pod tym jednym warunkiem, że nie będzie mogło nigdy korzystać z tych prerogatyw, kanclerz, odpowiedzialny za politykę zewnętrzną, finanse, sprawy wewnętrzne, za administrację wojskową, i który nie odpowiada za nic, gdyż odpowiada za wszystko, prezydent, który kolejno jest naczelnikiem Konfederacji i królem Prus, tak że nie można nigdy wiedzieć, gdzie zaczyna się prezydent a kończy król... Dodajcie do tego powolny rabunek, który po kawałku pozbawił państwa związkowe wszelkich pozorów władzy. — „Wyjąwszy wypadki nieprzewidziane — pisał pewien dyplomata — charakter polityki pruskiej jest przeciwny obdzieraniu kogokolwiek. Polityka ta ogranicza się do odrywania wam po jednym guziku, aż wreszcie, gdy ubiór nie może już służyć do żadnego użytku, Prusy uwalniają was od niego“. Umysł francuski nie jest w stanie zagłębić się w ten labirynt chytrości i oszukaństwa; trzeba być obdarzonym niemieckiemi oczami, by widzieć coś wśród tych ciemności. Dzięki swej czarności wybiegi te są niedostępne dla wzroku; gubimy się wśród nich, jak w czeluściach kopalni. Prusy kryją swe wojska w głębiach lasów, swą politykę — w nieprzeniknionym gąszczu kłamstw. Zasługą Bismarcka jest, że uczynił z germańskich mroków narzędzie władzy. Poraził on Niemcy plagą ciemności. Żarłoczność pruska, kierowana jego ręką, upodobniła się do wstrętnego pająka morskiego, który wylewa na swą zdobycz czarną ciecz, mąci wodę, w której zdobycz przebywa i oślepia ją, zanim pożre.

Na zakończenie przytoczymy z książki Cherbuliez'a portret Bismarcka, naszkicowany nader łagodną ręką — gdyż nie błyski dowcipu, lecz pioruny oburzenia powinien on zawierać — lecz mimo tego złagodzenia barw — dość żywy i podobny.

„Niemożliwem jest dla was — mówił mi pewnego razu pruski konserwatysta, przechadzając się ze mną po jednej z alej Thiergartenu—nie możliwem jest dla Francuzów, Szwajcarów, Włochów pojąć naszego *pre-*

mjera. Podobny człowiek mógł zrodzić się tylko w Prusach; mógł wyrosnąć tylko na berlińskim bruku. Ma on w sobie coś z uniwersyteckiego bursza, z junkra, z porucznika gwardji, dyplomaty, despoty i rewolucjonisty; wszystko to zaprawione jest w nim czemś w rodzaju ironicznej fantazji, czyniącej z niego artystę, niemal poetę. Niewątpliwie jest on arystokratą do szpiku kości; nie dlatego, by hołdował przesądom lub szanował tradycję, lecz z temperamentu, z zamiłowania i umiejętności władzy, wreszcie z bezmiernej pogardy dla liberalnego frazesu. Tłem jego duszy jest sceptycyzm; wierzy on tylko w ludzką głupotę i nigdy nie bierze pęcherzy za latarnie: woli bezlitośnie rozdzierać te pęcherze. Niestety! nie w wyższym też stopniu szanuje on nasze biedne latarnie liberalne; złośliwie zadmuchuje on te dymiące światełka. Przy tem wszystkiem, jest on w duszy radykałem, radykałem z metody, z zamiłowania do gwałtownych i szybkich sposobów postępowania, z zamiłowania do przecinania bolesnych kwestji... Nie, ciągnął dalej mój interlokutor, arystokrata — sceptyk i radykał nie jest zwykłym typem; nie jest on też doskonałym człowiekiem — zgadzam się z tem — lecz jest to człowiek nader skomplikowany. Podziwia się jego śmiałość, jego genjalną iście mefistofeliczną arogancję, i bądź pan pewien, że Prusy niejednokrotnie radowały się z powodu posiadania tak aroganckiego przedstawiciela: Prusy czują bowiem jeszcze na swej twarzy rumieniec po policzku, otrzymanym w Olmütz. Lecz arogancja Bismarcka nie jest bynajmniej wynikiem sztywności i ciasnoty umysłu, lub też zjadliwości doktrynera, jest to tylko sposób rządzenia, umyślna taktyka. Nic niema dlań bardziej antypatycznego, niż doktrynerstwo, i w tem jest on istotnym Prusakiem. Jest to bowiem właściwością polityki pruskiej, że drwi sobie ona z idei, zarówno jak z uczuć, z doktryn, zarówno jak z tradycji; jest to z istoty swej polityka *wolnej ręki*, zawsze gotowa do wszelkich możliwych i chwilowych sztuczek, lecz nigdy do wiązania się na przyszłość. Pod tym względem Bismarck jest doskonałym wzorem pruskiego męża stanu. Nigdy żaden człowiek nie był bardziej wolnym od wszelkiej pedanterji, od wszelkiej pruderji konserwatywnej. Jest on gotów, jeśli zajdzie potrzeba, wiązać się z rewolucją; czuje się dość silnym, by kazać jej wyciągać kasztany z ognia, a samemu chwytać je przed jej nosem. Jego wyłączną własnością jest też zadziwiająca swoboda w mowie; pogardza on drobnemi fałszami i wynalazł nowy rodzaj dyplomacji, który polega na tem, by wygrywać, grając w otwarte karty; mówi on, mówi wiele; wyjawia swe plany całemu światu, który nie wierzy mu ani na jotę. Mówi on: tego a tego dnia zrobię to i to, i wykonywa, co zamierzał... Częstokroć dla męża stanu wielką zaletą i zapewniającą mu panowanie, jest posiadanie cech charakteru, wręcz przeciwnych temperamentowi całego narodu, którym rządzi. Jak wielkie usługi oddała Bismarckowi w milczącym, ponurym i szczelnie zamkniętym kraju, jak Prusy, ta wielomówność, która jest jego charakterystyczną cechą, to umyślne niedbalstwo w zachowaniu się i wymowie, niedbalstwo, w którem przejawia się swoboda umysłu bogatego w idee i kombinacje, zawsze pewnego siebie, zawsze gotowego do zmiany kierunku, nigdy nie przywiązującego się do żadnego z nich: chwyta on w lot odpowiednią chwilę, żyje z dnia na dzień, tworzy w miarę potrzeby sposoby działania. Wielki wirtuoz, którego karjera polityczna jest ważną improwizacją".

Wycieniujcie te rysy, których autor zaledwie dotknął, a odnajdziecie: chłodną niegodziwość, okrutny cynizm, nieludzką bezczelność, szatańską pogardę dla praw ludzkich.

Dziś portret ów nabrał szczególnej wyrazistości: krew zeszpeciła go doszczętnie, obryzgała od stóp do głów. A wkrótce historja przygwoździ go do pręgierza.

Paul de Saint-Victor.

KAZIMIERZ GLIŃSKI.

32)

STARE LWY.

POWIEŚĆ.

Postać Maryny zarysowała się przed osmętniałym wzrokiem wojewody, postać kusząco piękna a tak widzialna w całości swojej, że wojewodzie się zdało, iż to, co przeżył w ostatnich godzinach kilku, niczem innem nie było, jak tylko snem okrutnym, tylko snem!.. Lecz krótko trwał ten obłęd zmysłów. Piękne widmo Maryny osłoniło się szatą zakonną, z miękkich kobierców zeszło na twarde cegły podłogi nierównej, o które uderzyły kolana wojewody. Sen wrócił czy rzeczywistość wróciła — nie wiedział. Lecz w sercu zawrzał gniew, który drzemał, jak grom w chmurach ukryty a teraz piorunem uderzy. W nieznanym zakątku duszy urażonego lwa zrodziła się myśl szalona przemocy i gwałtu — —

„Wezmę! Siłą wezmę!.. uśpię czujność stróżów twojego zamku — porwę cię senną, czy czuwającą i wprowadzę do tych komnat. Skręcisz mi się w ramionach, jak wąż, pluśniesz jak fala, tchem wichru podjęta, zanim tchnie ciebie wichr inny, stojący w poprzek mej drogi. — Zemsta! zemsta za plunięcie mi w twarz niedołęstwem starości, za to kłamstwo, w którem uwierzył w chwili otrzyma-

nego nagle ciosu zniewagi. — Tak!.. tak!.. zatarzasz się u nóg moich zanim uśniesz w kolebce ramion, ukołysana".

Podniecone żarem krwi, pragnieniem odwetu, przesuwały się myśli takie przez rozgorączkowany mózg wojewody. Znać czytelne choć niezrozumiałe były dla Przemka, bo szeroko rozwartemi oczyma patrzał na nabrzmiałą twarz pana Włodka, przerażony zbliżającą się chwilą apoplektycznego ataku. Ale strach minął. Wojewoda wstrząsł się, jak zwierz oswobadzający się z gryzących go insektów — i dźwignął się o mocy własnej, w pełni sił i zdrowia.

Nowa zagadka —

Przemko z osłupienia wyjść nie mógł.

Wojewoda przymknął powieki i wpatrzył się w rozszerzony błękit oczu Przemkowych.

— Dziw cię ogarnia — rzekł dobrotliwie, dłoń swoją na jego ramieniu kładąc. Nie dziwowałbyś się, gdybyś wiedział, jakie czasami szatany złe dusze ludzkie nawiedzają. Nie wiesz — i lepiej tak, lepiej!.. i nie chciej dowiadywać się. — — Jakże się ma jaśnie wielmożna wojewodzina?.. Prawda!.. mówiłeś już... To dobrze — to mnie cieszy!.. Może z wiosny przybyciem powróci i zdrowie jej sterane... Nie prawda-li, że bywa tak? że tak być może?..

— Wasza miłość mówiła...

— Co ja mówiłem?

— Że lampa dogasająca ostatni rzuca blask — —

— Mówiłem tak?.. Prawda, prawda że tak mówiłem — ale... to była odpowiedź na twoje: „lepiej!" — Zląkłem się tego wyrazu. Spytaj medyków, ludzi znających się na rzeczach takich a wyjadą ci zaraz z lampą dogasającą; cóż człek, arkanów podobnych nie świadom ma czynić, jeżeli nie zatrząść się z trwogi?.. Bóg da że lampa nie zgaśnie i ocaleje ród Włodków.

Umilkł, raczej urwał w pół ostatniego wyrazu — i wpatrzył się znowu w śliczną twarz chłopięcia.

— Podobasz mi się, coraz więcej mi się podobasz!.. Trzeba waścię z tego przepierzenia usunąć a przestronniejszą izbę dać... Podobasz mi się!.. Idź do jaśnie wielmożnej pani wojewodziny i wizytę moją zapowiedz.

Po chwili pan wojewoda mijał korytarze i komnaty, idąc do pokojów małżonki swojej. Zdziwili się dworzanie nową zmianą, jaka w nim zaszła; Szymek osłupiał, ale wnet wykombinował sobie, że słuszne były jego najpierwsze przypuszczenia, jeno, że wojewoda, dbając o przystojność i dostojeństwo swoje, przyznać się do figlów młodzieńczych nie chciał. Być może, że przypadkowe spotkanie z Jasieńcem wzburzyło jegomościa i wstrząsnęło jego substancją cielesną, ale aby Maryna Jasieńca nad wojewodę przeniosła — tego Szymek zrozumieć nie mógł. Teraz, gdy nerwy się uspokoiły, wino gorzką żółć rozpuściło i osadziło flegmę — powrócił wigor dawny i chód równy a pewny. O perłach na razie zapomniał, a gdy i one na myśl mu przyszły, wypadek z niemi według swojego rozumienia wytłomaczył:

— Wściekła się, zdzierżyć nie mogąc, gdy klejnotami ją opasał, a żar do gęby sypał — rzekł do siebie.

Mrugnął siwemi brwiami i zachodząc drogę wojewodzie, szepnął.

— Wojewodzeńku! możeby do Pilicy nawrócić?..

— Głupiś!

— Bez poufałości — —

— Krew mi wzburzył ten żmij — mruknął wojewoda — a wyimaginowałem sobie, że starość w ślepie mi zajrzała.

— Jam ci to odrazu wymiarkował—Ryć odparł — i gadaniu waszemu wiary nie dałem... Ale nie składnie mi było rzec: wojewodzeńku — łżesz! (d. c. n.)

TRENY.

...Z poczerniałego, omszałego krzyża,
Tej smutnej ziemi błogosławisz, Chryste,
Pościerającej pola szare, mgliste,
W dal siną, co się hen! ku Wiśle zniża...

Od łez przygasłym, boleściwym wzrokiem,
Patrzysz przez żalu mgłę, Ukrzyżowany,
W męce konania, na ten kraj znękany,
Jakby leżący w omdleniu głębokiem...

Jego ranami to zadawnionemi
Krwawią Twe ręce najświętsze i nogi...
Jego ofiarna to krew, Chryste drogi,
Z Twojego boku sączy się ku ziemi...

Z jego to bólu straszliwej otchłani,
I w jego cierpień okropnych imieniu,
Zbladłemi wargi, w ostatniem westchnieniu
Ty szepczesz: „Eli, lama sabachtani?.."

Wacław Wolski.

Zwycięstwo.

Ateny przeżywały już tylko swe wielkie, dawne dzieje i wielką sławę, nie tworząc już nowej.

Bohaterskie wojny perskie, długi okres zażartych walk ze Spartą o pierwszeństwo w panowaniu nad światem Grecji, świetne, błyskotliwe czasy Macedońskie i Dyadochów, nawet ostateczne, rozpaczliwe zmagania się z Rzymem o wolność, należały już do przeszłości. Historja zamknęła długą listę sławnych jej imion. Pozostały tylko mury, posągi i wspomnienia.

Ateny—jako stolica prowincji rzymskiej, liczyła się jeszcze do miast większych, ludnych, ruchliwych,—pełne filozofów i szkół filozoficznych, zabytków i tradycji.

Ale wobec Rzymu, Aleksandrji, rosnącego szybko, młodego Bizancjum była to już tylko prowincja. Zajęta drobnemi sprawami miejscowemi, stare miasto Peryklesa nie decydowało już o losach niczyich, nawet własnych. Było to miejsce pielgrzymki dla narodów młodych, które wysyłały tu swoją bogatszą młodzież po naukę, po wrażenia, a częściej po ową pozłotę kultury helleńskiej, którą w owych czasach tak bardzo ceniono.

To też gwarno było wieczorami na ulicach, placach i w zaułkach Keramejku.

Anikles powracał do siebie, wązką i spadzistą uliczką, bardzo ruchliwą, prowadzącą z hall w stronę Pnyxu, przedzierając się przez gromadzący się coraz bardziej tłum rozmaitej, mięszanej ludności okolicznej.

Stragany i sklepy, w których sprzedawano pieczone kawałki koźliny, ryb, groch szablasty, pory, gotowane w oliwie, chleb i świeże ciasto, były w oblężeniu. W powietrzu unosiły się odory smażonej oliwy i wyziewy potraw, świeżo zrobionych. Po nad wszystkiem panował klasyczny czosnek, niezbędna część składowa narodowej, helleńskiej kultury. Stare, czarne, źle z kamieni wybudowane domy, pełne schodów, przybudówek, tarasów, ganków, przepełnione ludnością oraz gratami najróżniejszego rodzaju, kupiły się w dwuch nieregularnych szeregach po obu stronach zaśmieconej, zapchanej różnojęzycznym tłumem ulicy.

Byli tam przeważnie niewolnicy, poskupywani z różnych końców świata, mówiący różnemi narzeczami i szwargotami, z pośród których wyróżniała się dziecinna i czysta mowa attycka, łamana dość często w zabawny sposób przez rozmaitych barbarzyńców.

Anikles był głodny. Zapachy jadeł i kuchni drażniły go, łechcąc podniebienie, ale nie gniewały tak, jak dawniej. Nie miał w majątku nic, nawet marnego obola, bóg bogactwa opuścił go zupełnie. Ale teraz obiecywał znowu i tym razem nadzieja nie miała być płonną.

Od jutra rana bowiem miała się zacząć nowa era w jego życiu. Antoniusz Rupus, bogaty rzymianin ostatecznie zdecydował się nabyć rzeźbę. Jutro mają przyjechać wozy, aby ją przewieźć do portu na okręt, skąd ma powędrować do Neapolu i tam stanąć w przedsionku willi, obok wielu innych. Otrzyma wreszcie od tak dawna upragnione i oczekiwane pieniądze. Rozpocznie się nowe życie.

I myśl ta rozjaśniła, rozweseliła, zbiedzoną, smutną twarz Aniklesa.

Miał zaledwie dwadzieścia sześć lat, posiadał talent. Niestety prześladowały go losy.

Wydostawszy się z tłumu, wszedł, na wązką, spadzistą uliczkę. Ale w miarę tego, jak zbliżał się do domu, gdzie mieszkał, twarz mu gasła i powlekała się bladością. Wkrótce potem, przecisnąwszy się przez wązkie, zarzucone gratami przejście, znalazł się na niewielkim dziedzińcu. W jednym z jego zakątków biały pył, ocioski kamieni, parę modeli z gipsu, zdradzały pracownię rzeźbiarza. W pracowni zastał Zekka. Był to przewodnik i stręczyciel różnych interesów, z którymi do starej stolicy przyjeżdżali rozmaici cudzoziemcy.

— Czekam na ciebie—rzekł pospiesznie, witając Aniklesa. Przyszedłem zobaczyć jeszcze, czy wszystko skończone. Nie wykułeś jeszcze podpisu?—dodał surowo, marszcząc brwi.

Anikles odwrócił głowę.

— Dobrze, położę go... dziś jeszcze — rzekł niechętnie.

— Pamiętaj! musisz to zrobić koniecznie, na Zeusa, bo wszystko przepadnie, całe

moje starania na nic! I będziemy musieli znowu czekać niewiadomo jak długo, póki nie złapie się znowu podobnie gruba ryba, jak ten bogaty rzymianin, Rapus.

— I podobnie głupia!

— Kpij! A było by to dla nas obu nieszczęście a dla ciebie przedewszystkiem, bo umierasz z głodu, a ja ci już nic dać nie mogę, bo nie mam ani obola przy duszy. Wiesz dobrze, jak trudno złapać kupca. Ile to ludzi kręci się w porcie i po oberżach, polując na każdego bogatego cudzoziemca. Nie robiłeś tego nigdy — a sprobój — rzekł Zekko, obcierając pot z czoła.

— Wiem, zrobię! — rzekł Anikles niecierpliwie.

— Jutro o świcie będę tu. Pamiętaj.

— Dobrze, dobrze!

Anikles pozostał sam i spojrzał na rzeźbę.

Cała prawie ówczesna Grecja starożytna, a Ateny w szczególności, stała się wielkim rynkiem zbytu swojej własnej przeszłości, którą sprzedawano na wagę złota, jako spuściznę.

Wychowawszy cały szereg nowych, bogatych i wielkich państw swoją krwią i swoim duchem, obecnie straciwszy koronę, stała się dostarczycielką cennych zabytków i pamiątek, które rozbierano chciwie.

Dwory Dyadochów, dwory rozmaitych królów i królestw jak Pergam, Palmira, Epir, miasta jak Aleksandrja, Marsylja, odradzające się, modernizujące stare państwa jak Persja, Egipt, Palestyna Heradów, miasta Sycylji, dalekie kolonje, jak Marsylja i mnóstwo innych a nadewszystko wielki, potężny, rozrastający się coraz bardziej Rzym wielkich konsulów a następnie cezarów, wszystko to kontynuowało na różny sposób starą kulturę helleńską, jej filozofję, jej sztukę, jej formy życia. Powstawały olbrzymie biblioteki rękopisów i zbiory dzieł sztuki, szczególniej rzeźby, których cena dochodziła do sum bajecznych. Tak np. jeden z królów Pergamu, za głośnego Amora Praksytelesa, chciał jego rodzinnemu miastu Kos spłacić jego wszystkie długi i dodać jeszcze pewną ilość talentów — co razem, według stopy obecnej wynosiło przeszło dwa i pół miljona franków. I miasto nie zgodziło się.

Wszystko, co greckie, a szczególniej, gdy nosiło na sobie markę Aten, Koryntu, Miletu lub głośniejsze nazwisko, osiągało podobne stosunkowo ceny, płacone przez olbrzymich bogaczów ówczesnego świata, pełnego kontrastów nędzy i bogactwa, przez zbogaconych parweniuszów, świeże dynastje królewskie, starające się ozdobić blaskiem starej sławy wątpliwe często stanowisko. Popyt na wszystko, co było zabytkiem, był ogromny.

Niestety dzieł oryginalnych, autentycznych i pierwszorzędnych było mało, coraz mniej. Zazdrosne miasta greckie, pielęgnując swoją starą sławę, z której żyły, niechętnie wypuszczały je z obrębu swoich murów. Powstawały prawa, zabraniające niszczyć i wywozić pamiątki, wydawane nietylko przez zarządy miast ale i przez sam Rzym, przez Cezarów, przez wszystkich tych, którzy zabardzo kochali greckość, aby patrzeć obojętnym okiem na rabowanie ulic, placów i świątyń przez chciwych handlarzy na rzecz najczęściej bogatych barbarzyńców, którzy, wywozili następnie cenne dzieła do swoich posiadłości na krańce świata, gdzie przepadały one na zawsze, jeżeli nie tonęły w morzu podczas transportu, albo gdzieś na drogach, wśród pustyń i lasów.

To też naturalnym skutkiem tego wszystkiego było zjawienie się całych legjonów kopistów, przerabiaczy, całe masy mniej lub więcej nędznych kopij, które zapełniają obecnie w kolosalnej większości nasze muzea, paczące najzdrowsze wyobrażenia o tem, czem jest sztuka wogóle i czem była sztuka Grecji. Obok tego powstawało również mnóstwo falsyfikatów, które wypychano za drogie pieniądze barbarzyńskim nabywcom różnych końców świata. Fabrykowano je w różny sposób bądź od nowa, bądź też używając do tego resztek pozłacanych rzeźb autentycznych, które zlepiano, często łącząc razem części, wcale do siebie nienależące, dorabiając tylko to, czego wśród gruzów wynaleźć i dopasować nie można było. Powstawały w ten sposób posągi, które renesans ochrzcił następnie pogardliwem mianem: pasticcio (t. j. pasztet, ciastko).

Właśnie posąg, który stał w pracowni Aniklesa był tego rodzaju falsyfikatem. Była to kleconka, zlepiona mozolnie przez Aniklesa z kawałków, które znosił Zekko, kradnąc je przeważnie, odbijając z posągów, w mieście lub pod miastem, wydobywając z gruzów, ze śmietnisk. Przedstawiała młodego atletę, przygotowującego się do walki.

Anikles patrzył na swoje „dzieło“ i twarz jego, wychudzona, posępniała. Figura tylko

na pierwszy rzut oka wydawała się jakimś szczęśliwie odrestaurowanym zabytkiem z lepszych epok Grecji. Ale tylko na pierwszy rzut oka. W istocie był to zlepieniec wsrętny, potworny, tym gorszy, że pozornie łudzący dzieło jednolite. Głowa nie mająca nic wspólnego z torsem, mizerna kopja z Hermesa Praksytelesa siedziała sztywno i nienaturalnie na torsie, którego część przywieziona z Chiosu, mogła być istotnie jakim szczątkiem lepszych czasów. Natomiast drugą część torsu dorobił Anikles. Obie ręce należały do nieznanych posągów i każda do innego. To samo cała lewa noga, znaleziona gdzieś około Akademji. Prawą wraz z częścią piedestału i draperji dorobił również Anikles, starając się naśladować styl poprzedni. Pracę miał trudną i tylko dzięki talentowi wykonał ją lepiej, niż bardzo wielu innych, którzy robili to samo. Widział całą fałszywość jej, niekiedy w rozpaczy rzucał dłuto lub porywał się, aby rozbić parodję i fałsz, do których przyczyniał się. Ale zawsze widmo głodu, nędzy powstrzymywało go i wytrącało mu niszczący młotek z ręki. Zekko obiecywał. Wreszcie kupiec znalazł się. Należało tylko wykuć na rzeźbie nazwisko sławne — Apollodoras, którego na falsyfikacie brakowało. Obiecał.

Zmrok zapadł, wszedł księżyc. Duszno było w domu. Anikles postanowił wyjść, pójść ku morzu, między ludzi, aby odpędzić trapiące go myśli i zapomnieć o głodzie.

Ruch na ulicach i placach zmniejszał się szybko w miarę znikania światła dziennego. Zamykano sklepy, uprzątano pospiesznie stragany, starając się ukończyć wszystko jeszcze przy resztkach dnia, bo małe lampki oliwne i łuczywa dawały więcej kopciu niż światła. Pozostawali tylko maruderzy i ci, których ciągnęło rosnące w blaskach światło księżycowe. Artemis-Selene świeciła srebrną pełnią nad zasypiającem miastem, zmieniając wszystko w srebrnawą mgłę widzeń — białe świątynie na szczytach Akropolu, wzgórzu Pnyxu, aleje platanowe, zwarte, zpiętrzone, białe domy i lepianki gasnącej stolicy. Srebrzyło się w dali morze, księżyc kładł się na falach drobnych szeroką, ślepiącą smugą, rwąc się i łamiąc na rejach i żaglach okrętów oddalonego Pireju.

Anikles dążył ku morzu, spotykając od czasu do czasu błądzące gromadki w białych togach, przeważnie młodzież, która przy świetle księżyca, w ciszy nocnej filozofowała, dyskutując o zagadnieniach bytu. Platońskie ideały nabierały prawdopodobieństwa w cichnącym świecie łagodnych blasków i czystego helleńskiego nieba, skąd szły szersze, świeższe, ożywcze tchnienia nieskończoności. Gwiazdy, przygasłe na srebrnego światła bogini nocy, zdawały się również wsłuchiwać w harmonje sfer, które, obracając się w wiecznym ruchu, dzieliły świat bogów od świata ludzi mniej silnie owej pięknej nocy, niż w zwykłe, gwarliwe dnie powszednie.

Anikles szedł na pozór spokojny. Ale w głębi walczyły w nim, niby skłębione węże, uczucia i myśli, mało harmonizujące ze spokojem i ciszą otaczającej natury. Z jednej strony stawała mu przed oczyma chuda, sucha, wycieńczona, ze żrenicami, pełnymi głodu i rozpaczy Nędza.

A z drugiej?

Widział Akropolis i nieśmiertelne dzieła Fidyasza. Długo stał przed dziełem Mirona, żyjącem mocniej, pełniej, głębiej niż życie samo, chociaż był to tylko bronz bezduszny. W samotnej wędrówce po mieście przesuwał się kolejno przed dziełami wielkich imion, które w srebrnem świetle księżyca przedstawiały się jako urzeczywistnienie marzeń o ludziach lepszych, piękniejszych, większych, o doskonalszym świecie i życiu, niż stwarzane codziennie przez rzeczywistość.

I pomiędzy to wszystko ma pchnąć kłamstwo, które stoi tam u niego w pracowni, cyniczne, bezczelne, obliczone na głupotę ludzką? Ma podpisać na nim imię znane i wielkie, popełnić fałsz dla tego tylko jedynie, że za to płacą?

Przyspieszył kroku, wzburzony. Szedł teraz szybko, podążając do domu. Mijał place, ulice, gmachy, nie widząc ich prawie wcale. Wreszcie dysząc ciężko, zmęczony wszedł do pracowni.

Posąg stał w oświetleniu księżycowem w całej nagości swego fałszu i bezmyślności. Wykrzywiał się i urągał nieszczęśliwemu rzeźbiarzowi, który go stworzył, przyparty widmem głodu. Cudne światło księżycowe, kładąc się na niewinnym, zawsze pięknym marmurze, jeszcze bardziej przez to podnosiło całą brzydotę figury.

Anikles pobladł, wargi mu zadrżały. Wrócił się do ciemnego kąta, pochwycił leżący tam młot. Zawahał się. Ale niepewność trwała krótko.

Następiło kilka zaciekłych, potężnych

uderzeń, zadanych całą siłą nagle wezbranej, długo hamowanej nienawiści. I mozolnie przez miesiące całe klejony, sztukowany fałsz rozleciał się w kawałki, zamieniając się nanowo w bezkształtną kupę gruzu!

Odetchnął. Ciężar spadł mu z piersi. Ale posmutniał.

I długo potem siedział na kamieniu, przed domem, rozmyślając o przyszłości. Była ona czarna, jak noc, ale czysta.

Feliks Jabłczyński.



MECZET, OBRAZ LUSY'EGO.

Walka z alkoholizmem.

W ostatnich czasach dają się u nas zauważyć dwa zjawiska dość ciekawe, nie ze względu na samą ich istotę, lecz z powodu ich równoczesności; a są niemi: rozwijająca się energiczna walka z alkoholizmem i niepomierny wzrost zakładów, debitujących napoje wyskokowe.

Kwestja alkoholizmu i jego smutnych następstw jest oddawna przesądzoną na jej niekorzyść. Niema chyba ani jednego człowieka na świecie, władającego zdrowymi zmysłami, któryby ośmielił się zaprzeczyć tej naukowo stwierdzonej prawdzie, że alkohol jest zabójczym nietylko dla zdrowia fizycznego, ale również i dla zdrowia moralnego. Nie będę się tu bawić w dane statystyczne, tak zresztą wymowne, a wykazujące straszne skutki, jakie pociąga za sobą nadmierne używanie alkoholu. Statystyka bowiem ma to do siebie, że przekonywa jedynie tych, którzy pragną być przekonanymi. Jest ona rodzajem filozofji cyfr, które niemotą swoją albo bardzo dużo mówią, albo mają pozór sofizmatu.

Więc nie za pomocą statystyki, a tymbardziej wielkich, papierowych haseł trzeba przemówić do szerokich mas, aby zrozumiały one cały ogrom nieszczęść i nędz, jakie wywołuje nadmierne używanie alkoholu. Tymbardziej walka owa nie po-

winna posiadać charakteru, jakiejś wojny *à outrance*. Wszelkie bowiem represje, jako skutki owej walki, wywołują wręcz przeciwne rezultaty, aniżeli te, których się spodziewano.

Abstynentyzm, tak dobrze, jak wegeterjanizm, eleuteryzm i inne tego rodzaju idee, zresztą w założeniu swem bardzo szlachetne i posiadające wiele zdrowych ziarn, szwankuje na pewnym zasadniczym punkcie, mianowicie jest *ultra* krańcowy! i ta krańcowość właśnie stanowi jego piętę achillesową.

Rozumiem dobrze, że szlachetni propagatorzy idei uszczęśliwienia ludzkości, do urzeczywistnienia której to idei bezwątpienia przyczynić się może w dużej mierze abstynentyzm, nie mogą bawić się w jakieś dyplomatyczne układy i kompromisy z sumieniem, rozsądkiem i ślepem umiłowaniem swojej idei. Pragną oni za jednym zamachem zburzyć, przesiąkłe alkoholem mury „nowożytnego Babilonu" i na gruzach jego zbudować świat nowy z odrodzoną ludzkością, zdrową moralnie i fizycznie! Ale niestety jak wiele innych szlachetnych idei, tak i tę trzeba zaliczyć do rzędu... utopji, o ile pragniemy ją przeprowadzić w całej jej rozciągłości i z nieubłaganą konsekwencją.

Zdrowy rozsądek niestety poucza nas, że istniejące zbrodnie, występki i wady—istnieć będą i w przyszłości. Największy na świecie optymista nie łudzi się chyba nadzieją, aby wyżej wymienione nędze ludzkie, mogły zniknąć z powierzchni ziemi. Ludzkość cała pracuje od szeregu wieków nad zmniejszeniem ich liczby, ale o wykorzenieniu ich zupełnem nie marzy nawet. Nie sam tylko alkoholizm jest nieszczęsnym twórcą zbrodni i występków, składa się



Pogrzeb ofiar katastrofy w „Lothringen".

na nie wiele innych jeszcze czynników. Zresztą coraz cięższe i coraz bardziej skomplikowane warunki bytu, ustrój społeczny, zmieniający się co jakiś czas oraz wiele innych nieuchwytnych wprost powodów stwarzają coraz to nowe zbrodnie, nowe występki, nowe wady.

Alkoholizm bezzaprzeczenia jest jednym z tych czynników, które wpływają na ilość i jakość zbrodni i występków, ale nie jest jedynym ich powodem.

Wracając do kwestji walki z alkoholizmem, to jakkolwiek uznaję jej potrzebę, to jednak nie przeceniam zbyt jej znaczenia, szczególnie prowadzonej w obecnej formie, wywołującej nie raz wprost przeciwne rezultaty.

Alkoholizm niestety jest zbyt głęboko zakorzeniony w życiu ludu naszego i aby go stamtąd wyrwać do szczętu nie pomogą ani najlepiej wypowiedziane odczyty, ani najświetniejsze rozprawy naukowo-popularne, ani najlepiej prowadzone organy prasy, poświęcone tej walce.

Odczyt, rozprawa lub pismo będą rzetelnie spełniały swoje zadanie... wśród wyznawców abstynentyzmu, szerokie jednak masy obojętnemi zostaną dla pięknie wypowiedzianych, lub napisanych haseł i dla prawdą bijących cyfr statystycznych — one ich zresztą ani słuchać, ani czytać nie będą. Powiedziałem wyżej, że wszelkie represje wywołują wręcz przeciwne zamierzonym skutki, więc nie abstynentyzm, który jest niczem innem jak moralną represją przeciwko używaniu alkoholu, ale spokojne, beznamiętne a wytrwałe przeciwdziałanie *nadmiernemu* używaniu alkoholu powinno być zadaniem tych wszystkich, którym szczęście ludzkości leży na sercu. Porzućmy górnolotne hasła i bojowe trąbki w walce z alkoholizmem, a natomiast starajmy się oświecać oddowiednio lud.

St. Cieszkowski.



Po katastrofie w „Lothringen".



Katastrofa w „Lothringen". Tłum oczekuje na wiadomość o ofiarach wybuchu.

Katastrofa w kopalni „Lothringen".

Jednocześnie prawie ze straszliwem trzęsieniem ziemi w Turcji, nastąpił wybuch w kopalni niemieckiej „Lothringen", gdzie pracuje mnóstwo polaków. Zginęło 110 górników, w połowie noszących nazwiska polskie.

Z głębi ziemi energiczna akcja ratunkowa zdołała wydobyć już tylko zwęglone trupy lub okropnie poszarpane i poparzone ciała żywych, z których wielu poumierało w szpitalach.

Jeden z ocalonych sztygarów opowiada, że znajdując się o jakieś 220 metrów od miejsca wybuchu, odczuł tak silne wstrząśnienie, że upadł, a wraz z nim przewrócili się, lub padli na ścianę galerji jego towarzysze w liczbie dziesięciu. Sztygar kazał im leżeć, aby dać przepłynąć nad głowami zabójczym gazom. Po pewnym czasie sztygar, nawpół przytomny, zeszedł do sąsiedniej galerji, odpoczął, poczem wrócił i zaczął wyciągać pomdlałych towarzyszów. Uratował ich sześciu.

Ogromne tłumy kobiet i dzieci z jękiem i płaczem oblegały wejście do kopalni. Niektóre potraciły ojców i synów i pozostały bez grosza, z kilkorgiem dzieci. Jedna z rycin naszych przedstawia grupę kobiet polskich.



Szyb „Lothringen".

Dwa lata w Grenlandji.

Dwa lata temu podróżnicy duńscy Mikkelsen i Iwersen wyruszyli do Grenlandji na poszukiwania uczonego Myliusa-Eriksena, który przepadł wśród lodów tej niegościnnej ziemi — i wszelki ślad po nich zaginął.

Teraz dopiero znalazła obydwuch podróżników wyprawa duńska. Przez dwa lata nieszczęśliwi ludzie, jak się okazało, mieszkali w nędznym baraku, zasypywanym

śniegiem. Mikkelsen byłby dostał pomięszania zmysłów, gdyby go nie podtrzymywał na duchu jego dzielny towarzysz, mechanik Iversen.

Gdy wybawiciele zastukali do chaty podróżników, ci wyszli ku nim ze strzelbami, sądząc, że to napad dzikich zwierząt.

Ludność Kopenhagi urządziła dzielnym podróżnikom burzliwą owację.



Nowy ambasador niemiecki w Konstantynopolu, von Wangenheim.

Annienskij.

Dn. 9 sierpnia r. b. zmarł jeden z najwybitniejszych społecznych działaczów rosyjskich, publicysta i uczony, N. Annienskij. Urodzony w r. 1843 w Petersburgu, skończył tamże w r. 1867 wydział prawny, poczem w r. 1873 —wydział filologiczny na uniwersytecie kijowskim.

Od r. 1895 Annienskij, który wciąż utrzymywał stosunki z Petersburgiem, i razem z Korolenką prowadził działalność oświatową na prowincji, przyjechał do stolicy, gdzie wrzała wówczas walka pomiędzy marksistami a ludowcami. Objąwszy w Petersburgu posadę w statystycznym urzędzie miejskim, Annienskij jednocześnie był jednym z głównych kierowników ideowego miesięcznika „Russkoje Bogactwo“ i wkrótce uznawano w nim jednego z najwybitniejszych ludowców („narodników“).

Odtąd każde przedsięwzięcie ideowe znajdywało w nim gorliwego współpracownika.

W r. 1901 i 1902 Annienskij podpisał protest przeciwko wydarzeniom na placu Kazańskim ze studentami i został za to wydalony z Petersburga. W r. 1904 aresztowano go za mowę, jaką miał wypowiedzieć nad grobem Michajłowskiego. W latach 1903 — 1905 uczestniczył w organizacji „Związku wyzwolenia“. W r. 1905, d. 22 stycznia należał razem z Gorkim do deputacji wysłanej przez związek literatów rosyjskich do ministrów celem odwrócenia nadciągających krwawych wypadków. Annienskij przesiedział wówczas w więzieniu 3 tygodnie. Gdy „Związek wyzwolenia“ zamienił się w partję konstytucyjno-demokratyczną, Annienskij zerwał z nim i przeszedł bardziej na lewo.



Annienskij.

Pogrzeb Annienskiego odbył się w Petersburgu w nastroju wysoce uroczystym. Za trumną wśród tłumów publiczności szły dwa wozy z wieńcami, wśród nich jeden srebrny od redakcji „Russkoje bogactwo“. Policja oderżnęła czerwone wstęgi od wieńca centralnego komitetu socjalistów narodowych oraz od „wieńca z musu nieobecnych“.

Nad grobem przemawiał między innymi znakomity pisarz Korolenko, którego po śmierci Tołstoja nazwano „sumieniem Rosji“. Korolenko był tak wzruszony, że zaledwie mógł mówić.

Annienskij, uczestniczący w deputacji podczas wydarzeń październikowych, miał powiedzieć do hr. Wittego:

— Wydałeś pan weksel, zapłać że pan walutę, usuń wojsko.

Sport kobiecy.

Kobieta zdobywa coraz nowe dziedziny życia. Są już adwokatki, są kobiety-posłowie (nie kobiety *po słowie*, bo takich wiele, ale jakby to je określić: „posełki“, „poślice“, „posłowe“?), są kobiety dentystki, lekarki, uczone (pani Curie-Skłodowska), profesorki, buchalterki i t. d. i t. d.—no i wreszcie mamy teraz tryumfy kobiet-lotniczek, mamy zwycięstwa prześlicznych dziewcząt nad mężczyznami w produkcjach siły i zręczności, w dziedzinie sportu.

W Sztokholmie, na igrzyskach olimpijskich, panna Brochedis zdobyła mistrzostwo światowe w grze tennisa. Kilka póz z tej walki, załączamy. Co



Podróżnicy duńscy, Mikkelsen i Iwersen.



Panna Brochedis, mistrzyni wszechświatowa gry w tennisa, w różnych postawach walki.

za namiętność walki w tej ładnej twarzy, którą kurczy i wykrzywia zaciętość, wysiłek, a wygładza radość z trafnego rzutu, lub śmiech z niezdolności przeciwnika. Niektóre pozy to upojenie zwycięstwa, dzikie grymasy zapamiętania. I ta swoboda ruchów, ten niczem nieosłonięty, nagi wyraz uczuć tworzy piękno, choć o estetykę tu mało się starano. Piękno zjawia się samo.



Gimnastyczki fillandzkie na igrzyskach w Sztokholmie.

Bardzo piękne były również popisy gimnastyczek finlandzkich. Tu starano się wyraźnie o estetykę, a wynik był świetny. Ta kobieta stojąca na jednej nodze na przełęczy belki przypomina rysunki na wazach greckich.

A oto alpinistka, która na wysokości 3000 stóp z tryumfem spogląda na przebytą drogę i wita dalekie przestrzenie, które zdobyła idąc po ciężkiej drodze wśród lodowców, ostrych skał i przepaści. Nasze dzielne taterniczki wiedzą coś o trudach takiej podróży. One ocenią, jak dalece uczucie tryumfu ze zdobycia wyniosłego szczytu alpejskiego jest uzasadnionem.

W Paryżu odbywały się wyścigi pływaczek. Chodziło o przebycie przestrzeni 4500 metrów po Sekwanie. Zwyciężyła dwunastoletnia dziewczyna, Rénée Dardères, która pierwsza stanęła u celu po 1 godzinie i 58 minutach. Drugą nagrodę otrzymała p. Voss, która zdążała za małą Rénée w odległości 50 metrów.

25-lecie Esperanta.

W tych dniach odbył się w Krakowie VIII z rzędu Kongres esperantystów, który można nazwać jubileuszowym, w r. b. bowiem język esperancki obchodzi 25-letni jubileusz od chwili wynalezienia go przez jego twórcę d-ra Ludwika Zamenhofa.

Myśl utworzenia języka wszechświatowego pierwszy powziął przed 50 laty z górą niejaki Satos Ochando, ksiądz hiszpański, lecz jego język okazał się tak skomplikowanym, że w użyciu stał się wprost niemożliwym. W dwadzieścia lat potem t. j. około 1882 r. powstał znów nowy język sztuczny „Volapük", którego twórcą był również ksiądz, niemiec Jan Schleyer, lecz i ten język nie zdołał wywalczyć sobie prawa obywatelstwa, dopiero trzecia próba, dokonana przez naszego rodaka dr. Zamenhofa—uwieńczoną została pomyślnym skutkiem i nowy język sztuczny, nazwany przez twórcę jego „Esperantem" nie tylko, że zdołał się utrzymać, lecz coraz więcej znajduje na całym świecie zwolenników, a jak w ostatnich nawet czasach, rządy państw zaczynają go w pewnej mierze sankcjonować. W wielu wyższych szkołach handlowych nauka „Esperanta" została wprowadzoną, w policji berlińskiej znajduje się kilku urzędników władających dobrze tym językiem, dalej na kongresy esperantystów, odbywane co kilka lat w różnych miastach, niektóre rządy wysyłają swych delegatów. Słowem „Esperanto" zdobywa coraz więcej zwolenników nietylko wśród osób prywatnych, lecz i w łonie sfer oficjalnych. Na powodzenie „Esperanta" złożyła się ta okoliczność, że rzeczywiście jest on nadzwyczaj prosty, łatwy do nauczenia się i posiłkowania się nim.

Jeżeli jeszcze są liczni przeciwnicy „Esperanta" i wogóle języka sztucznego wszechświatowego, to jedynie dlatego, że mylnie sądzą oni jakoby twórcy i zwolennikom „Esperanta" szło o to, aby on zastąpił języki narodowe. Gdy ten mylny sąd odrzucimy i językowi sztucznemu wydzielimy odpowiednią rolę w naszem życiu przemysłowem, handlowem i specjalnie naukowem, to bezwątpienia najzawziętsi dotychczasowi przeciwnicy tego języka, będą musieli mu przyznać wielką pożyteczność, a w przyszłości nawet niezbędność.

VIII Zjazd Esperantystów, odbyty dopiero co w Krakowie przy udziale około 1000 uczestników, przybyłych z różnych stron nietylko Europy, ale i Ameryki, wypadł świetnie, dając jeszcze jeden dowód, że idea języka wszechświatowego przeniknęła szerokie masy społeczne najrozmaitszych narodów cywilizowanych.

U nas w Polsce „Esperantyzm" pomimo, że tu się narodził, jest względnie mało rozpowszechniony, jakkolwiek piędź po piędzi zdobywa sobie coraz szerszy teren oraz licznych zwolenników. Wybitniejszymi esperantystami polskimi, oprócz oczywiście twórcy d-ra Zamenhofa, są: Antoni Grabowski, prezes Tow. polskich esperantystów, znakomita tragiczka p. Stanisława Wysocka, Tadeusz Skarzyński (Tada), Adam Zakrzewski, publicysta i statystyk, Leo Belmont, red. „Wolnego Słowa", dr. Bein, Al. Bol. Brzostowski, Jan Günther, Wierzchowski, dr. Benedykt Dybowski, Bronisław Skałkowski, dr. Leon Zamenhof, brat twórcy języka i t. d.

Na zakończenie przytoczyć należy kilka cyfr statystycznych, tyczących się „Esperanta". Otóż liczba towarzystw i klubów esperanckich dosięga obecnie liczby 2000, czasopism zaś jest około 150. W Warszawie posiadamy bardzo dobrze i z dużym nerwem dziennikarskim prowadzone pismo esperanckie p. t. „Poloj Esperanta".

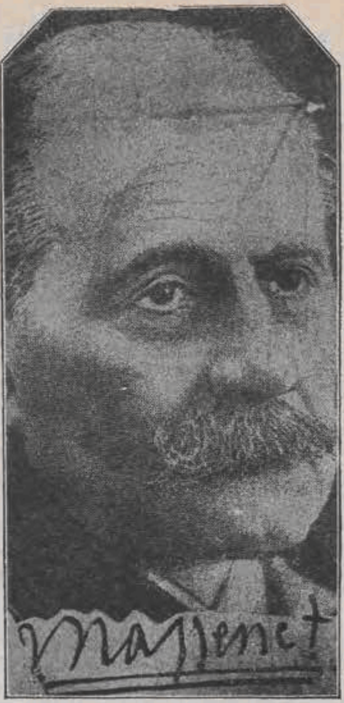
Jak widzimy z powyższego pobieżnego zarysu, „Esperanto" rozwija się normalnie i prawdopodobnie w niedalekiej już przyszłości zajmie on odpowiednie stanowisko w życiu kulturalnych narodów. *S. C.*



Alpinistka w męskim stroju na szczycie Rhigi.



Massenet w pracowni.



Juljusz Massenet.

Muzyka francuska poniosła wielką stratę, umarł Juljusz Massenet, jeden z najpopularniejszych kompozytorów.

Urodzony w Montaud pod St.-Etienne 12 maja 1842 r., Massenet odbywał studja muzyczne w konserwatorjum paryskiem, pod kierownictwem Rebera i Ambrożego Thomasa. Studja Masseneta uwieńczone zostały trudną do osiągnięcia „nagrodą rzymską", która zapewniła młodemu kompozytorowi możność spokojnej kilkoletniej twórczości w zacisznej willi Medici w Rzymie.

Po powrocie do Paryża z teką, bogatą w cenne dzieła, Massenet szybko się wznosił po szczeblach sławy. Poematy symfoniczne, opery, oratorja powstawały ze zdumiewającą szybkością i popularność Masseneta szybko wzrastała, zwłaszcza od chwili, kiedy poznano jego dramat biblijny p. t. „Marja Magdalena". Niektóre opery, jak „Manon", „Thais" i zwłaszcza „Werther" świat cały obiegły i niema wprost sceny operowej, któraby oper tych nie zaliczała do swego stałego repertuaru. Z innych oper wymienić tu należy „Króla Lahory", „Cyda", „La Navarraise" i wreszcie w ostatnich latach powstałe: „Le jongleur de Notre-Dame" i „Don Kichot".

Jak wspomniane dzieła na scenach operowych, tak popularne były na koncertach liczne poematy symfoniczne, pieśni i suity, z których największem cieszyły się powodzeniem „Scènes pittoresques" i „Scènes alsaciennes".

W r. 1878 Massenet został mianowany profesorem konserwatorjum paryskiego i na tem stanowisku pozostawał do 1896 r. Poza tem wiele spotykało go zaszczytów w formie orderów i odznaczeń oraz przyjęcia do Instytutu, stanowiącego część Akademji Francuskiej.

Massenet był muzykiem wybitnie utalentowanym, ale popularność swą zawdzięczał głównie łatwości melodyjnej, dostępnemu sentymentowi i niezbyt skomplikowanej stronie technicznej swej twórczości. Krytyka poważna, zwłaszcza ostatniej doby, wyrażała się o zmarłym kompozytorze nie bez ironji, zaliczając go do kategorji „Français italienisant".







Konkurs pływacki w Paryżu. Na lewo panna Voss, II nagroda. W środku skok do wody. Na prawo, nagrodzona I nagrodą, 12-stoletnia Réné Dardéres.



Nowy sposób drukowania dla ociemniałych.

Jak wiadomo, dla ociemniałych drukuje się książki i gazety drukiem wypukłym, aby mogli je odczytywać przy pomocy dotyku. W 1788 r. Walenty Haüy wynalazł sposób stosowania zwykłych czcionek, tylko że bardziej wypukłych, które na papierze tworzyły głębsze odbicie, z łatwością wyczuwalne pod dotknięciem palców, lecz pomimo to litery odbite w ten sposób były bardzo trudne do odróżnienia i wkrótce potem kapitan Barbier wynalazł inny, lepszy system drukowania dla ociemniałych, udoskonalony przez niejakiego Braille'a. Ten ostatni system do dziś dnia jest używany i zasadza się na tem, że zwykłe litery naszego alfabetu zastąpiono specjalnymi znakami, składającymi się z kropek, których liczba nie przenosi sześciu na jeden znak. Umieszcza się je w różnych kombinacjach. Każda litera naszego alfabetu posiada oddzielny znak odpowiednio z kropek utworzony. Na rysunku naszym widzimy czcionkę z wyobrażeniem jednego z takich znaków-liter *(patrz fig. B)*. W ostatnich czasach p. Vaughan obmyślił sposób, ułatwiający zecerom, nieznającym alfabetu dla ociemniałych systemu Braille'a, składanie, mianowicie na odwrotnej stronie czcionki umieszczona jest odpowiednia litera zwykłego alfabetu.

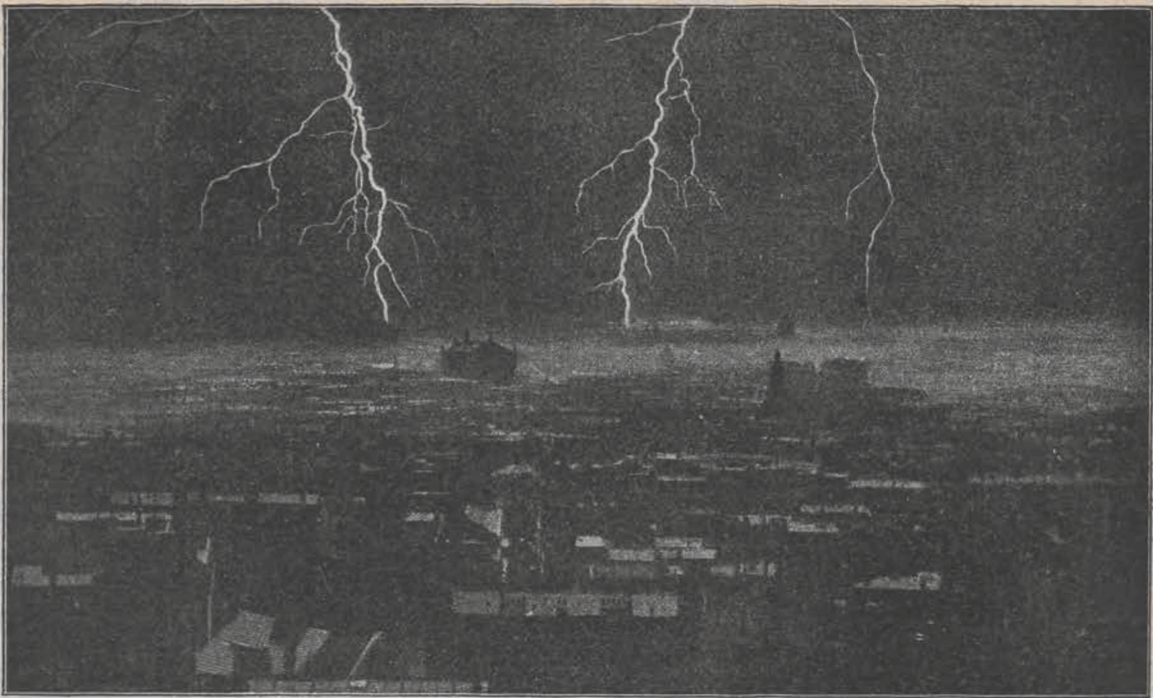




Mody.

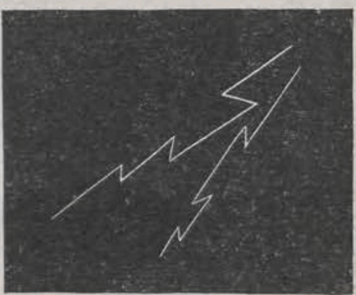
Obecnie p. Paweł Rémy, ociemniały, wynalazł nowy sposób drukowania dla ociemniałych.

Przyrząd p. Rémy jest nadzwyczaj prosty w konstrukcji, składa się on z dwuch żelaznych płyt *(patrz fig. A)*, formatu arkusza papieru, jedna z nich pokryta jest niezliczoną ilością małych otworów, symetrycznie ugrupowanych po sześć sztuk obok siebie umieszczonych. W te małe otwory wkłada się żelazne sztyfciki *(patrz fig. P)*, jednakowej długości, w ten sposób aby tworzyły one

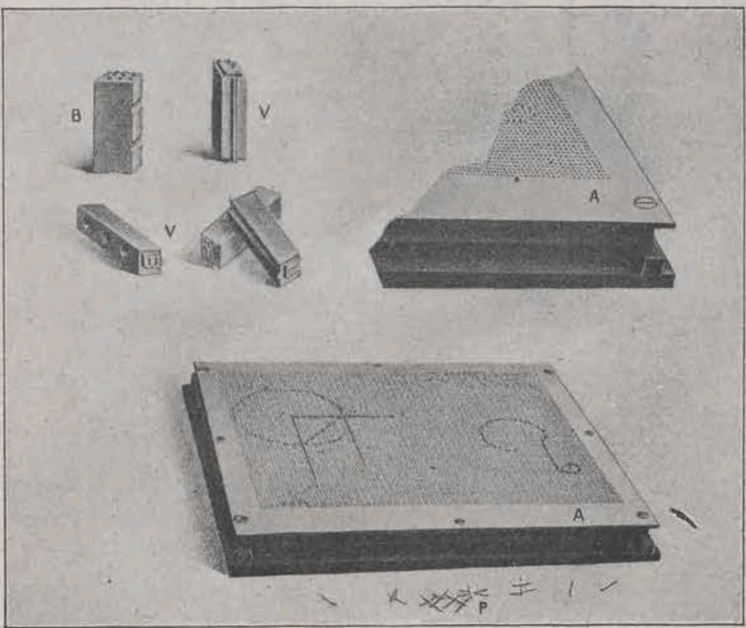


Pioruny nad Paryżem.

oddzielne litery alfabetu Braille'a. Jeżeli pragnie się ułożyć rysunek, trzeba wkładać owe sztyfciki jeden koło drugiego, idąc śladem danej linji rysunku. Oczywiście jest tu mowa o rysunkach prostych, shematycznych, kreskowych. Te kropkowane (przerywane) linje rysunku są podobno łatwiejsze do wyczucia pod palcem, aniżeli linje pełne.



Płyta przedziurawiona jest owemi otworami na wskroś, a sztyfciki wkładane w nie, podtrzymuje z przeciwległego ich końca druga płyta pełna, bez otworów, umieszczona pod nią. Regulując oddalenie tych płyt jednej od drugiej, ustanawia się odpowiednią wypukłość odbicia liter, stosownie do grubości papieru.



Nowy przyrząd drukowania dla ociemniałych. B i V—czcionki obecnie używane, A—przyrząd systemu Rémy, P—sztyfciki.

Prawda że system drukowania p. Rémy wymaga dłuższego czasu od dotychczasowego, bo jakkolwiek nie trzeba wyszukiwać czcionek w kasztach, lecz za to każdą literę trzeba oddzielnie ułożyć ze sztyfcików. Po wydrukowaniu jednak unika się zmudnej pracy rozbierania i segregowania czcionek, gdyż po ukończeniu druku odwraca się płytę i wszystkie sztyfciki wypadają i natychmiast mogą służyć do nowej roboty.

Najważniejszą jednak zaletą wynalazku p. Remy, jest jego bajeczna taniość.

PIORUNY.

Jak wygląda piorun?

Powszechnie się przypuszcza, że jest to ognisty zygzak o linjach ostrych i kanciastych, jakby jakieś gwałtowne przekreślenie złego artykułu przez redaktora. Taki teoretyczny piorun (podajemy schemat na rycinie) nic jednak niema wspólnego z rzeczywistością.

Fotografja momentalna zdołała utrwalić jego istotny kształt. Ryciny nasze dają o nim dostateczne wyobrażenie. Są to linje miękkie, spiralne, o zwrotach okrągłych. Czasami piorun rozdziela się na dwie części, czasem na kilka. Tworzy się wtedy na groźnem, czarnem niebie jakby mapa rzek i ich dopływów, jakby rysunek korzeni czy odartych z liści gałęzi i włókien.

Trzy są rodzaje piorunów. Jedne, linijne — to wyżej opisane. Drugie, to jakby olbrzymie płachty fosforycznego ognia, będące zapewne tylko odbiciem właściwych piorunów. Powstają one wśród chmur, stokrotnie w ciągu jednej burzliwej nocy, rozświetlając ciemności. Trzecie, pioruny kuliste—są to zjawiska jeszcze nie zupełnie dokładnie określone i nie należą do błyskawic w ścisłem znaczeniu tego wyrazu.

Od pioruna ginie co roku znacznie większa ilość osób, niż się to powszechnie przypuszcza.

W samej Francji zginęło w ciągu ostatniego wieku więcej niż 10.000 osób, czyli około 100 rocznie. Ginie znacznie więcej mężczyzn niż kobiet. Od r. 1854 do 1900 zginęło we Francji 1919 mężczyzn i 1462 kobiety. Ta galanterja dla dam tłomaczy się tem, że w polu pracuje więcej mężczyzn.

Ś. p. Aleksander Jeżewski.

Zmarł w Warszawie Aleksander Jeżewski, przeżywszy lat 70. Zmarły w młodości brał czynny udział w powstaniu 1863 r.,



ś. p. Aleksander Jeżewski.

Zgon jego okrył żałobą żonę, dwie córki i sześciu synów, zajmujących wybitne stanowiska w różnych dziedzinach.

Z tygodnia.

Z prawodawstwa. Od Nowego Roku wejdzie w życie świeżo zatwierdzone prawo o emeryturze dla pracowników kolejowych, poszkodowanych wskutek nieszczęśliwych wypadków.

— Ministerjum przemysłu i handlu w Petersburgu opracowało nowy projekt prawa o sprzedaży firm handlowych, według którego sprzedaż dokonaną być może jedynie rejentalnie, przyczem nabywca jest odpowiedzialny za długi obciążające firmę, których spis winien mu być przedstawiony przy akcie kupna.

Represje. W dyecezji wołyńskiej zgodnie ze staraniami arcybiskupa Antoniusza wzbroniono zawierania małżeństw mieszanych, motywując zakaz ten, że prawosławni zawierający śluby z katolikami w końcu przyjmują ich wyznanie.

Wyroki śmierci. Student Jukicz, sprawca zamachu na komisarza królewskiego w Zagrzebiu Cuvaja został skazany na śmierć.

— Od początku r. b. w państwie Rosyjskiem wydano 109 wyroków śmierci, z tej liczby wykonano 56. W Królestwie Polskiem wydano podobnych wyroków 3, wykonano zaś jeden.

Varia. Biolog francuski Odin wykrył bakcyla raka i ogłosił wyniki długoletnich badań nad chorobą raka.

Ministerjum komunikacji w Petersburgu, zgodnie z uchwałą Dumy przystąpiło do opracowania projektu zamiany wązkiego na szeroki tor na kolei Warsz. Wiedeńskiej.

— Marja Tarnawskaja, słynna z procesu o zabójstwo hr. Komarowskiego, skazana na długoletnie więzienie, ma być podobno ułaskawiona przez króla włoskiego.

— W Kaliszu zawiązana została spółka, mająca na celu wprowadzenie idei „miast-ogrodów“ i przystąpiła już do budowy domków z ogródkami na przedmieściu Tyniec.

— W Łodzi powstał projekt postawienia pomnika Mickiewicza w jednym z miejscowych ogrodów, według wykonanego modelu przez p. H. J. Zielezińskiego.

Elekci. Do nowego zarządu Warsz. Towarz. Przeciwgruźliczego wybrano na prezesa: D-ra A. Sokołowskiego, na vice prezesów pp. J. Hr. Ostrowskiego i Fr. Karpińskiego, na kasjerów: pp. Piotra Wertheima i S. Beina i na sekretarzów: pp. Dr. Wł. Chodeckiego i Br. Koskowskiego.

Wystawy. Warsz. Towarz. Dobroczynności ma zamiar urządzić w Grudniu r. b. wystawę swojskich lalek i zabawek.

— Tow. popierania przemysłu ludowego w Częstochowie urządziło doroczną wystawę we własnym gmachu pod Jasną Górą.

— W Kaliszu dn. 1 Września otwartą zostanie wystawa rzemieślnicza.

— W Łowiczu w dn. 5 i 6 Września odbędzie się wystawa (pokaz) rolnicza.

Zjazdy. Dn. 28 i 29 Września r. b. odbędzie się w Białej doroczny walny zjazd Towarzystwa szkoły ludowej w Galicji.

Nowe pisma. W Kijowie ukazało się nowe pismo codzienne polskie p. n. „Gazeta Kresowa“ pod redakcją p. Stefana Zembrzuskiego.

Z feminizmu. Hanna Helena Rejewska uzyskała na uniwersytecie w Poznaniu tytuł doktora chemji.

Zgony. W Stresa nad Lago-maggiore zmarła w 83 roku życia Elżbieta ks. Genui, matka królowej wdowy Włoskiej i Tomasza księcia Genui. Zmarła była córką króla Jana Saskiego.

— W Paryżu zmarł Juljusz Massenet, słynny kompozytor francuski, twórca całego szeregu znakomitych oper, między innemi „Manon“.

— W Konstancji zmarł, przeżywszy 81 lat, twórca języka międzynarodowego „Volapück“ Ks. prałat Jan Schleyer.

TYPY I TYPKI.

NADCZŁOWIEK.

Głowa w włosy ozdobiona,
Spadające aż po szyję,
Snać się w nich, na wzór Sam-
[sona,
Cała jego mądrość kryje.
Poznać go między innemi
Po niepewnych, chwiejnych kro-
[kach,
Bo choć nogi ma na ziemi,
Ale głowę na obłokach.

W „Udziałowej“ pół dnia siedzi,
Z twarzą pełną smutnych rysów,
Nie ma srebra, ani miedzi,
Za to plikę rękopisów.
Ale skarby te niestety,
Niecenione jak należy:
Nie chcą brać ich za monety
Ni redakcje, ni kelnerzy.

Duma pierś rozpiera jego
I całego go ogarnia;
Świat i ludzie, podług niego,
Jedna wielka to mydlarnia.
Stąd duch jego nadczłowieczy,
Próżno łaknąc wieńców sławy,
Ma pogardę dla wszechrzeczy,
Oprócz jednej czarnej kawy.

O wielkości swojej głosi,
Która duszę mu objęła
I ciągle się z myślą nosi
Potężnego arcydzieła.
A tymczasem plotąc baje,
Chodząc z pełnem dum obliczem,
Nitschem sobie się wydaje
I istotnie jest on... niczem.

Krogulec.

Odpowiedzi Redakcji

WP. Lipiński w Kamieńcu. *„Gazeta Kresowa“* wychodzi w Kijowie pod redakcją pana Stefana Zembrzuskiego. Adres: Kijów *„Gazeta Kresowa“* wystarczy.

WP. Kunowskiemu w Niemcach. Niech się WPan niczem nie krępuje. „Róg“ będziemy wysyłać w dalszym ciągu.

WP. P. Radziszewskiemu w Nurze. Przepraszamy bardzo za opóźnienie, ale to nie nasza wina. Sz. Pan wysłał pieniądze 7 b. m., my odebraliśmy je 10-go, a wysłaliśmy Sz. Panu cały komplet pisma 12-go b. m., łącznie z ostatnim № 34 „Złotego Rogu, który wyszedł w dniu 11 b. m. — więc administracja naszego pisma jest w zupełnym porządku.

WP. Leokadji Trawin w Dubnie. Dziękujemy za łaskawe poparcie. — Adres zmieniliśmy. Powieść, o którą Sz. Pani zapytuje, będziemy drukować, w danej chwili autor jest ciężko chory.

WARUNKI PRENUMERATY:

W Warszawie z odnoszeniem do domu,	rocznie rb. 4.—	półr. rb. 2.—	kwart. rb. 1.—	Numer pojed. kop. 10,
W Królestwie i Cesarstwie z przes. poczt.	„ „ 4.60	„ „ 2.30	„ „ 1.15	halerzy 25.
Za granicą i za oceanem	„ „ 5.—	„ „ 2.50	„ „ 1.25	
W Austrji i Galicji	„ 12 kor. 50 h.	„ 6 kor. 50 h.	„ 3 kor. 30 h.	Zmiana adresu—20 k.

CENA OGŁOSZEŃ: Na 2 str. okładki, przed tekstem (wiersz petitowy) 40 kop. **Nadesłane,** w tekście—75 kop. **Reklamy**—40 kop. **Ogłoszenia** na 3 str. okładki 20 kop. **Na 4 str. okładki**—30 kop.

Redakcja otwarta od g. 12 do 3 po poł. i od g. 5 do 7 w. Administracja otwarta od g. 9 rano do g. 7 w.

Przedstawicielstwo na Łódź: Biuro dzienników „Promień“.

Wydaw. **„Warszawska Spółka Nakładowa.“** Redaktor **Feliks Kwaśniewski.** Kierownik liter. **Wacław Grubiński.**

Druk L. Bilińskiego i W. Maślankiewicza, Nowogrodzka 17.